Opravi̇̄ono v r. 1942.

N. Inv. 5680.

III

1

5680

N. Inw. 5680.

Wesele Alfreda.

Michalewicz

Rozmaitości

Huczne to było wesele Alfreda. Młodzież przy kieliszku, męż=
czyźni przy wistu, stare stadła przy tortach, dziewice przy tań=
cach znalazły swą wesołość; jedni z nią siedzieli, drudzy z nią skakali,
zwyczajnie na balu, na świecie: Ja sam jeden byłem ~~milczący myśl~~=
~~cy między niemi~~ muzyka jak złote ramy tego obrazu wabiła wzrok
i ucho zmysłowy. Ja sam jeden byłem myślący między niemi; bowie=
m piłem, nie grałem, nie tańczyłem, i zewnątrz obrazu, przypatrywa=
łem się złudzeniom światła, wina, i śmiechów: tak w czarodziejskich Ver=
neta na brzegu morza lub w szalupie zobaczysz spokojną figurę
stojącą z założonemi rękami patrzącą w księżyc lub w wodę; zda=
je się zewnątrz stojąca myśl malarza chciała się w niem odbić, po=
równie! Toasty zdrowia lub szczęścia latały z ust do ust; potworzy=
ły się gruppy w rogach sali, rozmawiano wpółgłośno: zagrzmiał
mazur, rzuciła się młodzież, obracały się damy, tupali mężczyźni,
młoda para puściła się sola — ten podawał swej pannie stołek, i odbie=
rał w nagrodę wyćwiczone „merci", — ówdzie tancerz coś szeptał do
ucha swej sąsiadce, tam przed lustrem grzebuszkiem poprawiał nie=
ład loków kawalera — ów w kącie pokręcał wąsa; wszyscy byli za=
jęci sobą, ja wszystkiemi. I nie dziwujcie się, mogłem się niemi zaj=
mować, gdyż dla mnie byli obcemi: ani tam przyjaciela, ani ko=
chanki, ani ojca, ni Matki, żadna tam ciotka nie namówiła na
mnie bym wziął jej córkę do tańca — nie byłem przytem wesoły, żade=
ku, z wczorajszej podróży bolesnej... rozumiecie mnie, a jeżeli nie, to

prosę nie pytając o nią, bo nie można bez łzy opowiedzieć: a to wesele, proszono na tańce, na śmiech, a nie na płacz niewczesny.—

Pan młody zgrabnie uwijał. Panna młoda sunęła już tańcząc; w tem nieszczęście, spada z jej głowy kokarda właśnie w najlepszej ochocie: sto rąk się po nią schyliło, każdy chciał oddać, zyskać uśmiech, podziękowanie — rozerwali ją roztrzęśli, a rozwiali, po sali zdobić guziki zalotnych podnosicieli. Piękna kokardo! przypinająca cię ręka do głowy chciała wywołać tobą wzrok uwielbienia, podnieść ozdobę białego czoła, kruczych włosów; spadłaś, zawiodłaś nadzieję, ale piękna w upadku, pomnożyłaś wartość względem twej Pani, i stałaś się pamiątką.

~~Chciałem się jej kokardzie przypatrzeć, i łza mi zastąpiła, bo przypomniała mi inną kokardę, inną chwilę; był to także bal, wesele, byłem na nim, tysiąc głów ją nosiło, tysiąc rąk podnosiło, i rozdarli, rozerwali nie podnieśli — Nieszczęśliwa kokardo! Piękne damy przez litość nie noście białej kokardy — wam nie do twarzy, mnie nie do serca, a najgorszy nieszczęście z niej wypływa.—~~

Ale młoda para obiegała koło dalej; dziewczę niechętnie, młodzieniec żywo.—

—"Szkoda" szepnęła cicho pełna niechęcią podając w okręcaniu Alfredowi rękę—

—"Ej co tam Zosiu!" odburknął Alfred, i skończył figurę.

Kilka słów, a wreszcie cały wyraz dwóch osób tak różny, tak dziwaczny: dźwięczna, a może i zabobonna dziewica z pokornością obawy całą okropność przygotowała jednem zdała się oznaczyć słowem — szkoda. O szkoda twych względów Zofio! dawnego szczęścia, chwil dawnych; bo odtąd, od jutra to nawet co cię onegdaj dotknęło będzie dla ciebie dawnem. Szkoda oczu twoich, bo już po żonie; twojemi nie będą: oczyma męża w świat poglądać żona, tylko jedne by będą twojemi, to że niepodzielne nawet, wyciśnięte, wyśmiane. Zofio dobrześ mówiła „szkoda" ten niewygodny wymówiony, przystał dziewiczym ustom, może on będzie tematem twych myśli na długo — na zawsze — może

w objęciach Alfreda brzmię w twem sercu jak fałszywa nuta: nie=
szczęśliwa nie wiesz że jego łono będzie dla Ciebie jedynym portem —
a występna jeżeli inne... i w tej chwili szukałem Zofji oczyma — zna=
lazłem ją bladą, drżącą, z twarzą w otwarte podwoje wlepioną — pew=
no śledzi męża, dotąd kochanka swego — zaglądam — stolik zielony
— złoto. —
— Ja ciągnę! szczęście przybywaj! Dusza moja. — Ten głos donośny
dźwięczny, doleciał do tańcującej Zofji; ciekawiej wyciągnęła szyję
drży jej łono — któż to ciągnie pomyślałem sobie, głos nie Alfreda — po=
biegłem do drugiego pokoju. Młody blondyn przerzucał karty, spuś=
cił twarz na stół; nie widziałem oblicza, staję za nim, patrzę w pan=
nę młodą — stała na przeciw, utonęła w jego pierścieniach włosów,
w oczach znać ciekawość, niecierpliwość — słuchała. —
— Przegrałem krzyknął młodzieniec, i rzucił się z miejsca —
— Ha. ha! rozśmieli się ponterowie i ściągnęli złoto; on zniknął
w przybocznym pokoju. Zofia się nieśmiała, i dalej za nim pobieg=
ła niespokojnem okiem. Alfred był przy niej, coś mówił do niej —
nie słyszała, wziął ją za rękę — przestraszyła się.
— Zosiu! czegoś się tak przelękła.
— To sparny Alfredzie! zamyśliłam się — o tobie! —
Pierwsza chwila hymenu, i pierwsze kłamstwo słyszałem w jej
ustach — kłamstwo, za które podziękował nierozważny całusem, i od=
szedł do grających przy stoliku — miejsce próżnem zostało, przyjął go
Alfred. —
— Hej chłopcy, nowożeniec ciągnie — stawiajcie, stawiajcie wołał pod=
tatusiały gospodarz. —
Alfred wziął karty w rękę, zebrał, ostawiono banek; motylek, wygra
wołali obecni, i Alfred wygrał — stoi — quitte ou double — idzie, posy=
pały się karty — wygrał. —
— A co chłopcy nie zbijecie banku — nowożeniec się trzyma — dobrze
Alfredzie, ty trzymaj się dzisiaj. —
Potrojono stawki — znowu wygrał — ja spojrzałem po Zofji — nie bawi=
ła ją gra, nie bawiła ją taniec; coś jej brakło. —
— Ne omne kinum! kto pójdzie banku — contowosy — nikt — tchórze

bo czy to pan młody. „Ja idę" przybywający z głębszych ~~pokoi~~ rzekł blondyn:
i posypały się pieniądze przegranych, i ciekawie zwróciły się wszystkich
oczy na karty. Zofia przyszła do siebie, spojrzała, i znów pierwsze
ciągłe wlepienie, pierwsza niespokojność i trwoga. –
– Ubit – ubit banko rozległ się krzyk po sali, i blondyn zagarnął zło-
to. Radość błysnęła twarzą dziewicy, pobiegła po męża, „zaczynamy
nową figurę zawołała, i pociągnęła Alfreda tak żywo, iż niewiele
drgnął nogą.

Ten smutek, teraz ta radość z przegranej kochanka, dziwnie szumiały
w mych uszach; chciałem się przypatrzeć twarzy tego blondyna, szczęśli-
wego podwójnie – znów go nie było koło mnie, stał zdala, przypatrywał
się tańczącej parze. Zofia wesoło podlatywała z ziemi, wybiera-
wybrała jego, spodziewałem się, i mnie wybrała, niespodziewałem
się tego: z wzruszą podaję rękę, była młoda i piękna – cobym nie dał
gdyby jedno... w tem czuję ściśnienie jej ~~ręki~~ dłoni słabe pieszczotne,
nagłe; schylam się ku niej – twarz mi pała, serce drży: wpół odwrócona
obliczem nachyliła się ku blondynowi – widziałem mocno ich ręce ści-
nęły się w tańcu, ściśnęły, a doznany przezemnie uścisk niestety był jeno
skutkiem jej wzruszenia, odbiciem – druga ręka była tylko szczęśliwa. –
Stajemy naprzeciw dwóch dam które Alfred wywiódł do koła; Zofijka
porzuca mnie, i mego rywala – o jakiem był uradowany tą figurą, i on
ją musiał porzucić razem – nie dałem mu jednej chwili więcej, uczepiłem
się dłoni Panny młodej, ostatnim ją puścił. Teraz Alfred znów ją hasa,
z uśmiechem odebrał ją z rąk naszych – śmiej się Alfredzie, ciesz się
Alfredzie, wraca i ja przed chwilą cieszyłem się uściskiem nie dla mnie
nie przezemnie wzbudzonem – bodajbyś miał tylko dłuższą chwilę o-
błędu uciechy. Zakończono Mazura, roznoszą lody; jedne ich połknąłem
pierś gorąca, myśl gorąca – pożerałem lody, głowę cisnąłem o szyby, mróz
ruszał z okna pod mem czołem, i spłynął z kroplami potu – lżej mi
było, ale smutno, dreszcz trzęsie członkami, wargi mi drgają, trzeba się
rozgrzać, rozerwać, zapomnieć – grają walca, lecę na oślep, chwytam
pierwszą tancerkę, kręcę się rozbijam, rozpędzam, roztrącam, a wokoło
wre, mącą szumi, miga światło, już i światła nie widzę, tylko jak tryga
jak latarnia stanęła w oczach słup światła – kręci się rośnie, świdruje...

padłem — w drugim pokoju ocknąłem się na kanapie... skropiono wodą.
— Cóż to panu? pytają ciekawie matrony.
— Zakręciło mi się w głowie odpowiadają starzy. —
— Musiał się upić szepcą młodsi. —
— Ach jakże się zmienił powtarza kółko piękności przechodzących
mimo przypadkiem.
O! prawdę mówili starzy, młodsi i kobiety, zakręciło mi się w głowie
upiłem się i zmieniłem.
Już było po północy, tańczono jeszcze, ale rzadsze koła, nie tak częste
walce — czas było spocząć; cukrowa czekolada wzmagała grono tańczących,
pękały butelki, wysychały kónki — huczne to było wesele Alfreda: męż=
czyźni osobne utworzyli koło, obchodziła w nim kolej, był tam Alfred, był
i Blondyn — wmieszałem się do nich — żartowano rubasznie. —
— Hej Alexandrze! nie wesoło pijesz zawołał gospodarz, odbierając
wypróżniony kielich z rąk niskiego krępego mężczyzny. Twarz sąsiada
rozumieniona winem oddającego skrzywiła się śmiechem.
— Piję jak piję, ale szkoda dziewki ozwał się przy nim stojący.
— O jemu nie na rękę to wesele bąknął blondyn tak stłumionym gło=
sem, że tylko ja i Alfred blisko niego stojący mogliśmy dosłyszeć. —
— No! a to czemu? zapytał Alfred skwapliwie.
— A to nie wiesz odrzekł blondyn ujmując wpół Alfreda, i chyląc mu
słowa do ucha oddalił się z nim ku framudze sklepionego okna: nie
słyszałem końca zwierzenia, alem patrzał w twarz Alfreda — mienił się
bladniał, a wzrokiem szukał krępego mężczyzny. Ciekawość mnie zdjęła,
posunąłem wreszcie ku stolikowi, na którym rozrzucony leżał rommuns
francuski — stolik był blisko okna — przewracam kartki, słucham. —
— I on śmiał krzyknął Alfred w tej chwili głośniej
— Z pewnością nie umiem ci powiedzieć co wypadło, delikatność nie po=
zwalała mi badać — było to w ogrodzie — odprowadził ją do owego ławecz=
ki — z tem wszystkiem krzyknęła — a na krzyk przybiegłem.
— I tyś go nie ubił, nie rozdarł na miejscu. —
— Ja mu wszystko odrzekł mu blondyn wsuwając na ramię — i uchyliłem.
— Zbrodzień — zdrajca — wyspłacę mi to wszystko pod kulką, szeptał. —
— Tylko ostrożnie Alfredzie! ja dałem słowo honoru że nikomu nie powiem —

łobiem musiał – więc go niepytaj, niebadaj, on się wyprze, wyraźnie tyni mam świadków; ja za świadka stawić nie mogę – miałem z nim rozprawę. –
– O! ja mam go pytać, by mi się w oczy rozśmiał – wpierw ~~z~~ łeb zmiażdżę, po tem niech gada. –
– Ale wpierw… tu zniżył głos tak mocno, iż nic więcej nie słyszałem. –
Dziwna powieść; widać że chodzi o kobietę – na jej śladzie przybiegłem może ów blondyn – kiedyż się zajmuje pan młody w dzień ślubu jeżeli nie Zofją? Gdzież ta jasno włosa blondyna w ujęciu się za nią; a przecież wymieniano Alfreda „i tyś go nie ubił„ Ten pojedynek pogróżki, i spokojna podochocona mina Alexandra na którego się odgrażali obadwa. Ten blondyn przypięty do ucha Alfreda jest owo pachole, duch, anioł czy szatan w Ukraińskiej „Marji,„ w pół objemujący rycerza i w cwał z nim lecący na pole – wszystko to fantastycznym kręgiem odbiło mi głowę; czekałem końca –
W pobliskim pokoju do którego drzwi na oścież zemknięto słyszano śmiech stół młodzi oznaczał iż gotowano sarmackim zwyczajem dla nowo żeniców kołacz. Zwołana panny młodej orszak matrony; w pół ciekawą, w pół skromną miną dziewic odstępowały od Zofji, a na ich twarzyczkach niewidzących czy się rumienie, czy nieświadome udawać błąkał się uśmiech, którym zawsze przyjmowały tego który im cukierki podawał, jeśli i tego a podchmielony z dworniackim wyjeżdżał komplementem. O jakiż wtedy dla znawców ciekawy jest wyraz twarzy kobiecej – kto wie jakie głębokie, ważne myśli wybiegają wówczas z ich łona. Ta z pustym śmiechem ledwo podnosząc czarne długie rzęsy pokazuje przyjaciółce cukrowe serduszko które w ręku trzyma; na co jej odpowiada czysto, spokojne, niebieskie oko sąsiadki, wejrzeniem więcej smutnem, tkliwem, jeśli figlarnem. O gdyby mi wówczas przyszło między wami wybierać dozgonną przyjaciółkę, kochankę i żonę, luba dziewico z niebieskiem okiem, podałbym tobie moją rękę do ołtarza, boś ty spojrzeniem wydała całą tkliwość pożycia, boś ty nad tą chwilą hymenu musiała rozmyślać długo przewidziałe jest nad przyszłością, nie zaś jest nad rozkoszą. A ówdzie też ciekawie dziecinna a strzelista okiem z pod różowego opięcia głowy, to jaśniej mówi o twojej niewinności, o piętnastu latach twoich, jak ~~na~~ brunetko ~~jest~~ ~~niebyła~~ ~~widzieć~~ ~~potocze~~, jest uroczyste zajrzenie twej ciotki, i ton twojego tonu – piękny pączek ciekawiej przemawia do serca

impsom Delf
Fiu

botaniki, jak rozwinięta centifolja – z pączka dopiero kwiat się wy-
winie, a z kwiatu już tylko woń i robak. –
Otwarły się podwoje dotąd zamkniętej sypialni, wprowadzono pannę
młodą, Alfred bocznemi drzwiami zniknął już z grona naszego; wróciliś
my do tanecznej sali. Odpoczywali biesiadnicy, tony smyczkowych dam
podnosiły się w takt mazurka, ale już je chłodził szal przez troskliwą za-
pewne matkę; kiedy niekiedy kichot pojarów ozwał się używaniu gorą.
Uważałem nie bez zadziwienia, jak młody blondyn uprzedzał prawie za-
dania matek i ciotek w sprowadzaniu ich kożuchów, salop, czepeczków;
jak rad oznajmiał, iż ludzie czekają, tych żegnał, tych wsadzał, znać
chciał się pozbyć wszystkich; już tylko kilku pozostało mężczyzn, gdy już
odjeżdżały sanki – niechcąc mu być zawadą, wyszedłem za nim, by mu dopiero
zawołał ludzi, stają na gumnie, blondyn zaczepiał z jakimś człowiekiem.
„Czyje to sanki z siwemi końmi?" – Pana Alexandra – Gdzie jego lokaj – Jego
panie – odprowadź sanki na lewo za gumno tak kazał pan – Do-
bra – Czekaj tam aż cię zawołają – Dobrze Panie – Tylko niedostępuj koni
cy zęto kilka srebrnych grajcarów od niechcenia wrzuconych przez
blondyna. Lokaj wskoczył na sanki, zaciął konie, a blondyn wracał
do pałacu; byłem mu na drodze. –
– I Pan już jedzie rzekł do mnie z ukłonem – trzeba się zatrzymać
trochę – ten zawrót to zmierzenie którego Pan doznał – wszak jeżeli się nie
mylę Pan z obcych stron jesteś. –
– Tak ~~[illegible]~~ jest z obcych dalekich stron. –
– Zatrzymaj się Pan cokolwiek, noc ciemna, mróz zawiała, ludzie
pańscy drogi dobrze nie znają, mogą wywrócić. –
Zdziwiła mnie ta jego troskliwość, alem musiał wrócić do sali wzięty
pod pachę; niebyło w niej nikogo, tylko ja i ów niski krępy Alexan-
der, do którego jak pijawka przyczepił się blondyn. Chodzili z sobą wedtur
i wszerz po pokoju; blondyn ciągle zagadywał, zatrzymywał zwłoczył:
jeżeli patrzałem na niego jak na aktora grającego rolę – Bóg wie jaką
rolę. Bije kwadrans, półgodziny; wchodzi do sali kamerdyner Al-
freda, pomałemu go – podczas uwagi zanosił butelki – wszakże przypra-
wia stołki, pojrzał po blondynie – Blondyn skinął – odszedł. – „Jamy

to pojedźmy, już świta – rzekł Alexander,, – wyszliśmy do sieni, ciemno
było, coś w kącie zaszyło się cicho – wyciągnąłem w to miejsce rękę, i
dotknąłem się zimnej lufy pistoletu. ,, To ja Panie odezwał się kamerdy-
ner Alfreda. –
W tej chwili z trzaskiem wypadły się drzwi naprzeciw sali; wypadł
z nich Alfred wpół obnażony – uchylone drzwi dały mi widzieć kotarę
na niej z rozpuszczonemi włosami Zofja oczy zasłoniła chustką, po-
wydymały ustawiczne tłumienia boleści.
– Patrz! patrz! krzyknął przeraźliwie Alfred do nizkiego krępego męż-
czyzny, i gwałtownie pochwycił go za ramię. – Uwiąż to dziecko wściekłe.
i głośny pośpiech rozległ się po sieni.
Zwrócił się nagle napadnięty do Alfreda; silną dłonią schwycił go za gardło
i zdusił w nim wpół wymówioną obelgę. Szarpnął mocno blondyn Ale-
xandra za ramię i wybawił Alfreda.
– Pal mu w łeb krzyczał na kamerdynera wściekły Alfred. –
– Hola ho! nie róbcie krzyku – do ogrodu, z pistoletami do ogrodu,, to
mówiąc blondyn silną ręką porwał Alfreda za koszulę, a zziajanego
gniewem Alexandra ręce skrępowały żylaste dłonie kamerdynera. –
– Pójdź Pan za nami, wołał na mnie blondyn,, będziesz służył za se-
kundanta. –
Idąc zbliżyłem się do napadniętego:
– Cóżeś to zrobił nieszczęsny? pytałem go patrząc mu bystro w oczy. –
– Bóg widzi nic – jestem człowiek honoru.
– A w ogrodzie! dodałem z cicha, i w twarz jego utopiłem wzrok bada-
wczy. –
– W jakim ogrodzie! odrzekł z zupełną spokojnością umysłu i twarzy.
Był niewinnym, zupełnie niewinnym, bo takie nagłe pytanie od niezna-
jomego zadane, pochwycone odemnie w owej skrytej rozmowie byłoby sil-
nego zbrodniarza zmięszało. Wówczas stanęło mi na myśli całe postępo-
wanie blondyna – wzrok Zofji, ta radość, to ściśnienie ręki, ta rozmowa w og-
rodzie, te grajcary – i nie wątpiłem więcej. O! Alexander był niewinny. –
Stanęliśmy w ogrodzie, brnęliśmy w śniegu po kolana; Alfred w czarnych
spodniach, w białej koszuli z obnażoną szyją, wyglądał jak zbrodniarz
ozmpt – prowadzony na rozstrzelanie. Sądziłem że mróz zdoła ochłodzić jego
porywczość, zbliżyłem się, chciałem mówić z nim na osobności; nie
dozwolił blondyn.

Jako sekundant Alexandra mam prawo zawołałem z żywością poro=
umieć się z Alfredem.-
Jako sekundant odrzekł porywczo blondyn mam prawo odmierzyć
kroki.
Ale powód zaczepki nie jasny odparłem ostro.
Głównie dość głośny, i wyraźny, bo aż mu twarz nabrzękła.
Prędzej chrzypnął Alfred, bo mu w łeb strzelę, i porwał za pistolet.-
widziałem że nie ma sposobu wstrzymania; kamerdyner zapalił po=
chodnię.-
Wiele kroków, spytałem blondyna.-
Jeden zawołał Alfred
To zabójstwo odrzekłem śmiało; nie pozwolę na jeden.
Ja pozwalam oderwał się Alexander- Jeden i jedna kula.-
Nie mogłem się sprzeciwić; obie strony przystały. Blondyn nabijał, jam
patrzył, drżała mu ręka, połowę prochu przysypało się po śniegu- obejrza
łem pistolety, jednakowe były; jeden nabito kulą, drugi prochem- położy=
łem je na czapce. Zbliżyli się przeciwnicy, który chwycił. broń schwap-
iwe, stanęli naprzeciw sobie o krok: my w pobliżu trzymaliśmy pochod=
nie.-
Raz-dwa trzeszczącym głosem zachrypiał blondyn; widziałem niespokoj
ność Alfreda, migotał mu pistolet w dłoni prosto w czoło przeciwnika
zmiennie: spokojna nieowzruszona lufa Alexandra dotykała piersi ~~A~~ Al
~~—~~ freda.
Trzy chrzęknąłem nad ich uchem; dwa strzały, padł Alfred, a głowa Alexan=
dra prochem zajęta świeciła mu jak pochodnia grobowa.
mieszany tym wypadkiem nie widziałem co począć. Blondyn zdał się
przewidywać skutek pojedynku; dwóch ludzi znalazło się w pogotowiu,
w głąb przyległego lasku zaniesiono ciało [illegible]. Alexander przysięgł
siebie; wymożono od nas przysięgę tajemnicy, słowo honoru jak stempel
urzędowy zabezpieczył jej pewność: kamerdyner odprowadzał Alexandra do
nek; Blondyn śpiesznym krokiem opuścił nas- pozostałem sam jeden;
zamieszaniu zapomnieli o mnie; nieświadomy drogi, bez przewod=
nika, bez światła chcę szukać mych ludzi, idę po śladach na śniegu-
zimno mi, byłem tylko we fraku- teraz dopiero przypomniałem sobie, iż
zamęcie zapomniałem futra- wysłałem na powrót, drzwi zdała czerniał

dachem – tam [illegible], tam pewno czekają mnie sanki, pomyślałem sobie,
i kilku skokami stanąłem w sieni; w niej tak było ciemno, jak przedtem
kiedym wychodził z Alexandrem – że byłem tak pomieszany, iż zapom=
niałem wejścia do sali: szukam drzwi po ciemku, pod mą ręką uwija
się klamka, chwytam ją chciwie, pchnąłem, i rozbiegły się podwoje, i znalazłem
się w pokoju Zofji; siedziała z blondynem na łożu w pół ujęta w zapomnieniu.
Na moje nagłe zjawienie się krzyknęli; blondyn zerwał się do mnie, ale wybladł=
ły, drżący zachwiał się na nogach, i nie mógł postąpić kroku. Chcę się cofnąć
obracam się do drzwi, w tem widzę – tuż obok mnie stoi – zgadnijcie kto – Al=
fred ten sam z obnażoną piersią, skrwawionym gorsetem, niepomszczony
niemy – ten sam Alfred któregom dopiero widział jak padł bez życia, i jak
go zanieśli do lasku....

Nie jestem fanatykiem, nie byłem nigdy zabobonny, a jednak przysięgam
wam, widziałem go jak was dziś widzę; nie wiem czy oni go widzieli, ale przes=
trach blondyna, ale krzyk Zofji potwierdził mnie w tem mniemaniu. Nie jestem
tchórzem; a jednak mi włosy powstały na głowie, wybiegłem, uciekałem jak=
by mnie gonił duch Alfreda; za wrotami podwórza napadłem moich ludzi,
kazałem pędzić co siły, już dobrze widno było kiedym powrócił do mojej gos=
pody. –

W kilka dni po tem zdarzeniu, byłem w dość licznej kompanji kobiet; bawi=
ły się jak zwykle rozmową z plotkami. –

– Jakżeś się Pan bawił na weselu? spytała młoda mężatka. –

– Dużoś Pan tańcował dodała dość nie młoda panienka. –

– A jakże się Panu wydaje toaleta naszych wieśniaczek przerwała Jejmość
domu, poprawiając swoje kokardy u czepka.

– Tegoś pan nie musiał bardzo uważać odpowiedział za mnie godny
małżonek Jejmości, ale że ci to wesele musiało diabelnie głowę zawrócić;
pewnoś zasmakował w małżeństwie. –

– O! nie! przerwałem szybko i nierozważnie, ale tak gwałtownie, że wszys=
tkich oczy padły na mnie, oczekując bez wątpienia jakiejś powieści, coby
do nowych mogła im posłużyć plotek. – Postrzegłem się wczas, a nie umie=
jąc mój zapał „Nie powtórzyłem wcześnie, takiem się zmęczył przy tłum=
ności na weselu obcem że nie rzekę czybym na swojem nie skonał. –

Śmiechem ogólnym zakończyłem niebezpieczne tych gości badania: ale z
nich przekonałem się, że cały wypadek nocny dla wszystkich był tajemni=
cą. –

Nad spodziewanie, a nawet i nad chęci moje zabawiłem się w tych stronach

których awizalem z początku miał zamiar, jednakże zakres znajomości moich sercowych i nieserdecznych nie wybiegał już dotąd nad obręb kilku sąsiedztw; a rozmowy rozbijały się o wieczne pogody, i niepogody, i kończyły się na kilku robrach. Znacie mój sposób życia, wiele myśleć, mało mówić, pisać zawsze; pisać było mym żywiołem. Nie lubię ludzi, bowiem, iż na tysiące, tysiąc cię obmówi, skrzywdzi, oczerni, jeden przyjaciel zrozumie: mniej jedna znajomość mniej jedno niepodzielone uczucie, tak sobie zawsze rachuję, i dotąd nie zbankrutowałem przeczenaniem.

Dnie, miesiące, rok upłynął, jeszcze byłem w obcych stronach, i nabyłem prawa bywania u sąsiadów bez zaprosin. Piękny to zwyczaj na wsi, dawny, nie wiem wprawdzie ale zapewne od koczujących narodów pochodzący: zbieramy się w kilku, niespodzianie wpadamy w dom ~~obcy~~ ochoczy, nie bacząc czy Jegomość w chwalebnym czy słodkim humorze, Jejmość czyli spiżarnią, nie na stopie, dość na tem że zajeżdżamy, pijemy herbatę, każemy wyprzęgać, i raczymy ich objadać — należałem do tych narodów, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ jednak zawsze życie. Ja chciałem żyć choć ojcem — byłem młody, młodszy o rok, a teraz już mam dwadzieścia trzy lat; już idzie z górą w dwudziestym owartem pewno osiwieję, a dwudziestego piątego dnia Boże doczekać: dwa lata przyszłości, o! to wiele ~~[illegible]~~

Ale wybaczcie mi; odskoczyłem od rzeczy, bym wam prawił o sobie — zwyczajny to nałóg starych już jest: im się wydaje, że bez nich rzeczy ubiegłe nie byłyby poszły tym torem, mnie się widzi, iż bezemnie nie byście nie wiedzieli o weselu Alfreda.—

Było to w lecie, w środku maja bawiliśmy się ochoczo w ogrodzie Pani R... ~~p[illegible]~~, i przyjemność gospodyni, i ~~[illegible]~~ świeższe powietrze, i cień świerkowego lasku, i młode dziewczę białe lilje rozsypane po murawach śmiejące towarzystwo kobiet, wszystko weseliło obecnych, śmieszyło, bawiło. a z drugiej strony, ~~p~~rzeki, góry matki dzieciom, czasu szronem bielące, starość patrzały naigrawając się nasze, strome szczyty grzejąc na słońcu majowym, a lasy u ich podnóża bukowinskiemi szelesciały wiatry. Nieznacznie grono bawiących porozpraszało się gośćmi; przestawałem z młodemi pięknościami, to w gaiku brzozowym, to znów wśród klombu kwiatów, to nad rzeką, nigdy na jednem miejscu, zwyczajnie jak w ogrodzie — tak nam zeszło słońce, trzeba było wracać do starszej kompanji pod wieczór dnia już pod wieczór życia. Znachodzimy się w smerekowem lasku, ale podczas

niebytności naszej, przybyła nowa para, kobieta w żałobnej sukni, żywą rozmowę z gospodynią domu, wtocza skupiła, twarzy jej czarnym osłoniona kapeluszem dojrzeć wyraźnie nie mogłem, i... blondyn, ten sam, ale znacznie odmieniony, blady, wyschły; pobudziło to moją ciekawość, i zbliżyłem się do żałobnicy... Zofja... znów Zofja i blondyn.–

– Ktoż to jest zapytałem sąsiada, co obok mnie spokojnie dopalał cygaro.

– To Zofja K...

– W żałobie?–

– Po Alfredzie.–

– To zginął?

– Jak to zginął, odparł z uśmiechem mój sąsiad, umarł.–

– Gdzie?

– W wód zagranicznych.

– A ów blondyn wiernie towarzyszący Zofji, odparłem

– Cóż z tego, to brat rodzony.

– Czyj?

– Zofji.–

– Brat! brat rodzony!... zawołałem z zadziwieniem – On – nie może być – on co ją... wstrzymałem się – już tajemnica była na wargach moich.–

– Cóż to przeszkadza, dodał z uśmiechem sąsiad, jakby zgadując nie dokończony przezemnie wyraz, a ten uśmiech więcej mówił złego o Zofji, niż li wszystkie słowa, jakiemiby obciążyć mimo owo scharakteryzowane. Śmiech jego był głośny, zgrzyta, pusty, i wszystkich oczy padły na nas, a były wszystkich i Zofji i blondyna; musieli mnie poznać w tej chwili, bo obydwa spojrzeli po sobie, zmieszali się, zbledli. Na wchodzie do sukienkowego lasku oszo[illegible] nowo stałem nieruchomy jak uderzony piorunem, tak zmieszany tem co słyszałem. Jak wówczas, gdym szukając po ciemku drzwi do sali porwał za klamkę i ujrzałem kotarę. O! musieli mnie poznać bo tak mi włosy na głowie powstały, bo takim nieładem latały mi oczy i ręce jak wówczas... wtem naprzeciw mnie z poza drzewa wysuwa się Alfred ten sam co w prawdy z obnażoną piersią, skrwawionym gardłem, w rozdartej koszuli; pośród pomiędzy Zofją blondynem, a mną, i znikł za swoim: widziałem go – Zofja widziała, i padła z krzykiem bez przytomności na ziemię, rzucili się do niej wszyscy do jej ratunku, drgały jej członki konwulsyjnym szaleńem – blondyn wryty niemy z rozwartą na mnie piersią, stał sam jeden nieratujący, nieporuszony.–

Wybiegłem z lasku; skryłem się w alej – ja to, ja sam wywołałem cień Al-

om. delet impr

da; czułem, iż dla nieszczęsnej jestem wiecznem obrazem, przypomnieniem,
na twarzy mojej musiał osiąść jakiś wyraz niemieniony zgrozy lub przes
echu zbrodnią wyryty, i nim to straszyłem dzieci nieszczęsnych.
Skryłem się za drzewa, widziałem z daleka jak niesiono Zofję do powozu;
ndyn postępował za nią jak za skazanem śmierci: turkot karety zniknął
ł odjazd, wracali goście od bramy po swoje salopy; wysunąłem się z za
rzewa, krzyk kobiecych głosów rozległ się z przestrachu.
co Pan robisz, wszystkich nas dzisiaj porozstraszasz z ogrodu.
Jak to zawołałem porywczo; czyż to ja..
Tak jest Pan zabawiłeś Zofję szarmerią; biedna Zofja, ale to w tej chwili
ś stał w lasku oparty o drzewo, tak byłeś podobny do Alfreda jej męża, tak
tępiały, smutny, że wszyscy z drżeniem wpatrywaliśmy się w ciebie
ł w widmo jakie. Biedna Zofja owa zapomnieć nie może Alfreda: od
asu jego śmierci ciągle szarmy męża nieboga — szkoda, tak młoda. —
To słowo szkoda wymówione różanemi ustami pięknej mojej napast=
ki przypomniało mi owe słowo Zofji wymówione w tańcu do Al=
freda. O! powtórzyłem z westchnieniem szkoda, szkoda ciebie Zofjo!
młoda, a już na zawsze zgubiona. —
Słyszałem później, iż od owego czasu Zofja nie powstała z łoża. —
blondyn?
Blondyn ożenił się Bogato. —

omiss. delet. impt $\frac{6}{9}$ 834

Unterfasst vom ... v. Magnuszewski

Mitgetheilt vom ... v. Dziewkowski [redacted] [redacted]

17/8 1834